Nr. 12 Rok 4 Kraków, dnia 21 marca 1943. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI

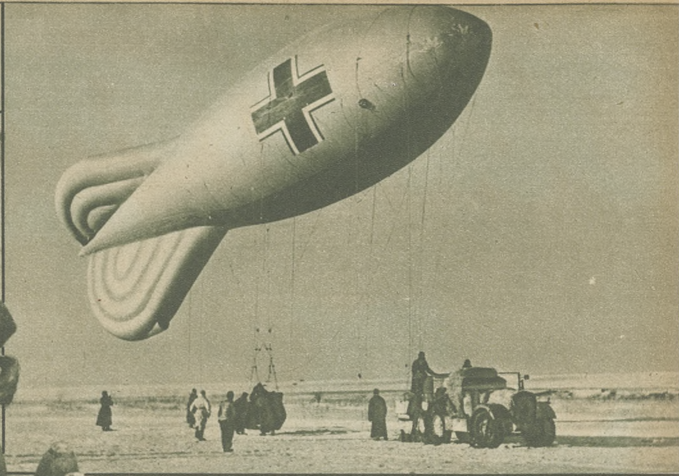


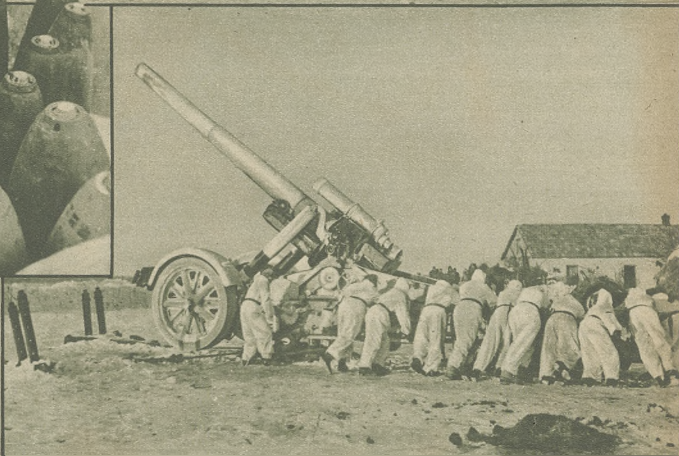
WIOSENNA ORKA

Fot. [illegible]

CIĘŻKA ARTYLERIA NAD DOŃCEM





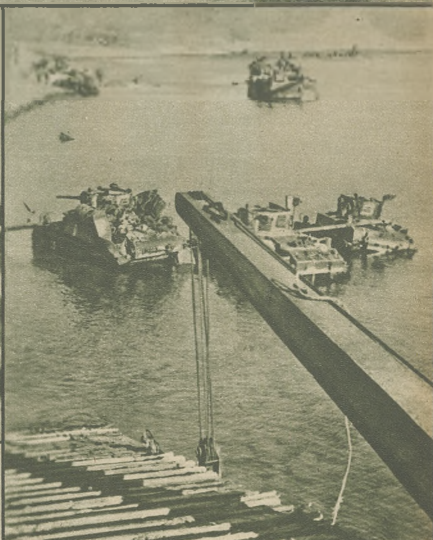


BALON NA UWIĘZI KIERUJE OGNIEM

W ostatnich walkach między Dnieprem a Dońcem, w których ponieśli bolszewicy ciężkie straty, wzięła wybitny udział obok innych rodzai broni również i ciężka artyleria. Zdjęcie na prawo u góry: Umieszczanie na stanowisku niemieckiego balonu obserwacyjnego, którego załoga ma kierować ogniem artylerii. U góry: Ostrzenie pocisków armatnich. Na prawo: Ciężkie działa niemieckie otwierają ogień na wojska sowieckie.

Foto: PK Bauer-Altvater-PBZ 2, Schürer, Büschel, Lange Sch.





U góry:

CZOŁGI I GRENADIERZY RUSZAJĄ DO ATAKU

Niemieckie czołgi toczą się na linię walk, by zaatakować bolszewików. Wraz z nimi posuwają się grenadierzy ku pierwszej linii bojowej.

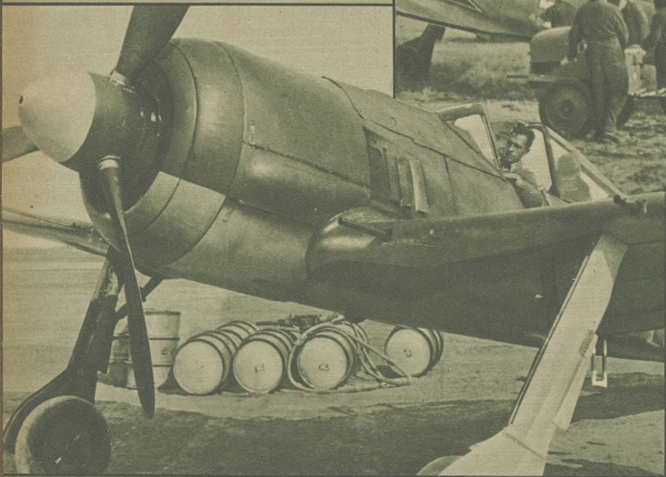
Na prawo:

ROZBICIE NIEPRZYJACIELSKIEGO ATAKU

Bolszewicy usiłowali wylądować we wsc odniej części Morza Czarnego, jednakże bezskutecznie, jak o tym doniósł niemiecki komunikat wojenny. Na zdjęciu widzimy zniszczone czołgi sowieckie.

W POWIETRZU I POD WODĄ

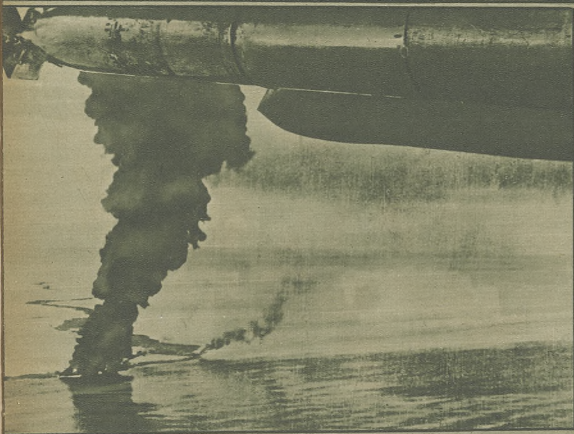




ALARM NA LOTNISKU

Ostatnie tygodnie przyniosły Amerykanom i Anglikom ciężkie straty na morzu. W pobliżu portów algierskich Bone i Filippeville zaatakowały niemieckie samoloty, nieprzyjacielskie konwoje i uszkodziły ciężko liczne parowce. Zdjęcie u góry: Na jednym z lotnisk w Tunisie spieszą lotnicy niemieccy do swych maszyn, by wznieść się w powietrze celem wzięcia udziału w ataku. Na lewo: Niemiecki samolot na krótko przed startem.

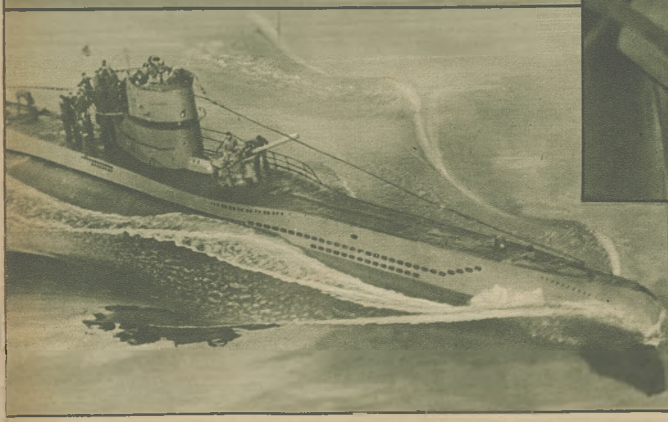
Fot: Seltsam, Wachert, Prokop-PBZ, Boback-Atl, Scherl



AMERYKANSKI PAROWIEC CELNIE UGODZONY PRZED ALGIEREM

Parowiec USA celnie ugodzony włoską torpedą powietrzną — płonie. U góry widzimy torpedy drugiego samolotu.





ŁODZIE PODWODNE WALCZĄ

Nie tylko włoscy i niemieccy lotnicy, lecz także niemieckie łodzie podwodne odniosły w ostatnich czasach bardzo duże sukcesy. Między innymi zatopiono w poprzednim tygodniu, w ciągu trzech dni, 47 okrętów o pojemności 282 000 brt. Na lewo: Niemiecka łódź podwodna w pełnym biegu. Ugodzony niemiecką torpedą brytyjski transportowiec zostaje ostatecznie zniszczony pociskami artylerii niemieckiej.

POWRÓCILI BOĆKOWIE





Powrócili Boćkowie już z zamorskiej podróży
Mają dość zagranicy, długich lotów, Arabii.
Milsze gniazdo im własne, choć zwichrzone po burzy
I chłodniejsza tu woda i smaczniejszy kęs żabi.

Gdy wieczorem na niebie zapalają się zorze
I na ziemi mrok szary i cisza już leży,
Któreż z dzieci najbogatszych szczęśliwszym być może
Niż te dzieci bocianie pod skrzydłami macierzy?

Żyją zgodnie Boćkowie — nadzwyczajne to stadło —
Lecz się gniazdo zbyt puste im wydawać zaczyna,
Więc dochodzą do wniosku, że już teżby wypadło
Mieć raz dzieci. Jak inni. Dwie córeczki i syna.

Bociek, głowa rodziny, ciągle bywa w rozjazdach,
By dla dzieci i żony zwozić żaby, padalce,
A zaś pani Boćkowa, strzeże dzieci i gniazda
I tłomaczy, że grzeczne powinny być malce.







Patrzą dzieci ciekawie na swą macierz skrzydlatą
I pytają czy prędko będą latać jak ona,
Ale macierz zajęta nic nie mówi im na to
Tylko pilnie podwyższa parapet — strapiona.

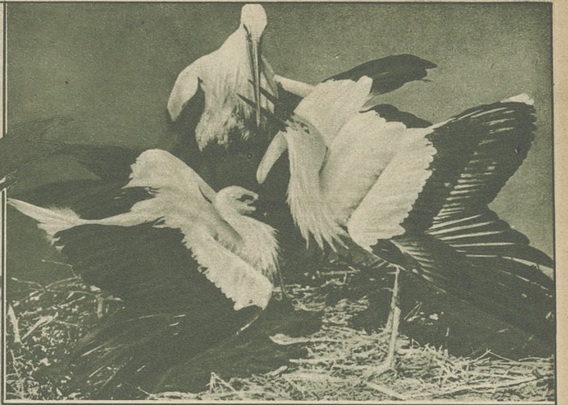
Coraz ciaśniej jest w gnieździe — już podrosła dzieciarnia
Baraszkuje, ugania, jeszcze któreś wypadnie...
Więc też mama Boćkowa po zagajach chróst zgarnia
I rozszerza mieszkanie, dba, by było w nim ładnie.



Jak powstały te zdjęcia

W pewnej wiosce w starej wieży kościelnej wmurowano kamerę fotograficzną w ten sposób, że obiektyw mógł wyzierać przez szczelinę między cegłami dachu. Fotograf mógł teraz w pozycji pół stojącej, pół leżącej obserwować bociany na matówce aparatu. Czekał on często całymi godzinami na dogodną kompozycję. W końcu jednak żmudna, trwająca całymi tygodniami wytrwałość jego została uwieńczona piękną, tętniącą życiem serią zdjęć.

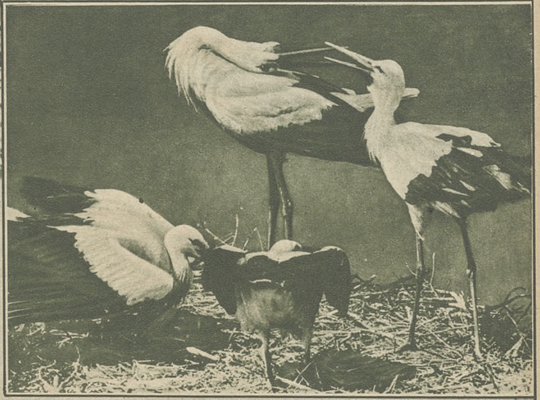




Już się same skrzydełka rozwijają do lotu
Lecz nieprędko to jeszcze pomkną chyżo w przestworze
Dużo czasu upłynie, dużo trudu i potu
Zanim wielką gromadą znów wyruszą za morze.



I nie mija czas długi, a do gniazda u strzechy
Przylatują z wizytą inne całkiem bociany
Zostawiając na pamiątkę trzy małe pociechy,
Ku radości pana Boćka i Boćkowej mamy.



Syn, najmłodszy z rodziny, (najbystrzejsze też z dzieci)
Chętnie z matką rozmawia, wypytuje ją, bada,
Macierz czuła, troskliwa, syna tuli i pieści
I o świecie dalekim, dziwy mu opowiada.

sza

Foto: Eurofot

GENERALNY GUBERNATOR DR. FRANK ŻEGNA TRANSPORT ZŁOŻONY z 2000 ROBOTNIKÓW I ROBOTNIC WYJEŻDŻAJĄCYCH Z GENERALNEGO GUBERNATORSTWA DO RZESZY.

Niedawno na dworcu głównym w Krakowie, w obecności Generalnego Gubernatora Dr. Franka i władz administracyjnych, jak i delegatów RGO, odbyło się uroczyste pożegnanie tego transportu. Po wstępnym przemówieniu Kierownika Wydziału Pracy w Rządzie Gen. Gubernatorstwa zabrał głos Generalny Gubernator Dr. Frank, który w serdecznych słowach zwrócił uwagę wyjeżdżającym do Niemiec ochotnikom na szereg aktualnych problemów.





U góry: Generalny Gubernator Dr. Frank i (na prawo) „jubilat" z transportu Józef Maciarz, z powiatu mieleckiego, który jako milionowy robotnik odbywający podróż do Rzeszy otrzymał złoty zegarek. Na prawo: Dr. Frank wręcza dwom innym uczestnikom transportu Stanisławowi Kowalczykowi z powiatu miechowskiego i Zofii Łachut z Dąbrowy, pow. Tarnów kosztowne podarunki pamiątkowe.

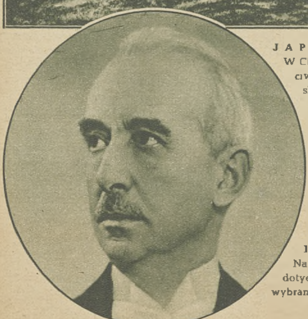
Fot. Borek





JAPOŃSKIE WOJSKA WALCZĄ

W Chinach ożyły znów operacje wojenne Japonii przeciw Chinom Czungkinga. Podczas gdy japońskie wojska posuwają się na lądzie naprzód i przekroczyły już rzekę Jangtse, flota ich czuwa na morzu u wybrzeży terytorium chińskiego. U góry: Japońskie oddziały szturmowe przepływają w łodziach gumowych jedną z rzek na wschodnio azjatyckich terenach walk. Na prawo: Artyleria przeciwlotnicza japońskiego okrętu wojennego walczy z nieprzyjacielskimi samolotami. Jeden z samolotów spada, zestrzelony.



ISMET INÖNÜ ZNÓW PREZYDENTEM TURCJI

Na zgromadzeniu narodowym w Ankarze Ismet Inönü dotychczasowy prezydent państwa został ponownie wybrany prezydentem (Zdjęcie na lewo).

Fot: Atlantic, Scherl, Archiwum IKP

PRZYGODY Pani Haliny



Skolnikowa Maria

O dwunastej zajechało auto. Panna Friedmannówna sama je prowadziła i za kilka minut były na miejscu.

Dyrektor Friedmann mieszkał z córką we własnej willi, którą okalał prześliczny ogród. Auto zajechało przez główną bramę do ogrodu. Kilka schodów prowadziło na słoneczny taras, z którego się wchodziło do domu.

Dyrektor nie był obecny w czasie przybycia pań. Tak sobie życzyła jego córka, a ojczulek ją słuchał.

Panie bawiły się doskonale, oglądały mieszkanie, bibliotekę, i koncertowały w pokojach panny Wandy. Halina zawładnęła klawiaturą, Wanda grała na skrzypcach, Fryda znów zaśpiewała dość poprawnie dwie piosenki. Służba przysłuchiwała się w korytarzu, a Wanda po tym „koncercie" żartobliwie rozpędzała służące, z czego można było wnioskować, że nie pozuje na wyniosłą panią.

Do obiadu zeszły panie na dół, gdzie we wspaniałej sali czekał dyrektor. Stół przybrano jaśminem, co Halinę mile ujęło i obszerną salę czyniło sympatyczną i przytulną. Przywitanie dyrektora z paniami było pełne dystynkcji, ale naturalne i serdeczne. Fryda więc nie miała przyczyny obawiać się o Halinę.

Do stołu podawała zgrabna pokojóweczka, napoje zaś podawał stary sługa, dobroduszny, typowy wieśniak. Kiedy ten się oddalił zapytał dyrektor córkę:

— Co za cud, że Wacek się pokazał, pomimo ze są goście?

— To chyba przez ciekawość. Chciał widocznie zobaczyć co to za goście dla których wolno mi zrywać bezkarnie róże z cieplarni już w maju... Musi pani wiedzieć pani Halino, że Wacek to stangret nieboszczki mateczki, patrzący z pogardą na auta. Spełnia funkcje stróża, kamerdynera ojczulka i jest jego i moim powiernikiem.

— Poczciwa starowina, — dodał życzliwie dyrektor.

Obiad przeszedł bez ważniejszych zdarzeń. Panna Wanda wymogła na ojcu pozwolenie wyjazdu na studia muzyczne. Nie obeszło się przy tym bez wstawiennictwa Haliny, dlatego była wyłącznie nią zajęta, a dyrektorowi przypadła rola bawienia pani Frydy. Czuł się swobodnie w jej towarzystwie, dowiedział się różnych szczegółów z życia pani Stromskiej i był zadowolony.

Po obiedzie wysłano auto po Tolka i ruszono wreszcie w drogę.

Marzenia chłopca spełniły się

*

Halina wyjechała z miasta z przekonaniem, że wszystko jest w porządku. Opinia miasta była po jej stronie, dzięki stosunkom Friedmanna i jego córki. Ale zupełnie inaczej przedstawiały się sprawy w miasteczku, gdzie mieszkała i pracowała w sądzie.

Zgłosiła się u naczelnika. Radca Sikora, stary już jegomość, z którego córką sędziną Bratkowską łączył ją przyjazny stosunek, teraz jakoś niechętnie się do niej zwracał.

— O ile pani nie czuje się dobrze, to może pani już teraz otrzymać urlop zamiast w lipcu.

— Dziękuję panu radcy, wolę w lipcu ze synem pojechać do stryja. Bardzo przepraszam, ze narobiłam kłopotu, ale tak jakoś mi nerwy dokuczają. — Uśmiechnął się tylko ironicznie. Zaś w gronie swoich znajomych zwykł mawiać:

— To nie nerwy, to sprawy sercowe. Niebezpieczny z niej typ. Radziłem córce asekurować męża...

— Udawała taką niedostępną, a...

— Podobno starego dyrektora skokietowała, a córka jego musi się z nią przyjaźnić.

Takie i tym podobne szepty dochodziły uszu Haliny. Przewidywała, że ta szara nić pociągnie się za nią gdzie się tylko ruszy i wobec tego nie wychodziła nigdzie po urzędowych godzinach.

Miała wynajęty duży umeblowany pokój. Tylko fortepian był jej własnością, meble swoje zostawiła w mieście u ekspedytora na przechowaniu. Siedziała więc po urzędowych godzinach w pokoju i grała dużo i wytrwale. Całą swoją duszę i tęsknotę włożyła w muzykę.

Postanowiła, że pojedzie na urlop do stryja, poprosi go błagając wprost na kolanach, by jej postarał się o posadę bliżej siebie. Zabierze Tolka, a zostawi wszystko co przeżyła raz na zawsze poza sobą.

Minął maj. W pierwszą niedzielę po I czerwca kochana Wanda przywiozła jej Tolka szczęśliwego i zadowolonego, że trzymał kierownicę, a panna Wanda dawała mu wskazówki. Poczciwa Fryda też przybyła i tak wszyscy przejechali się autem przez miasto, co dało sporo tematu do rozmów mieszkańcom miasteczka.

Wanda proponowała Halinie i Frydzie spędzenie urlopu u nich na wsi, ale Halina odmówiła, co było przyczyną, że Wanda zapraszała Halinę i w imieniu ojca:

— Proszę mnie słuchać pani Halino, ojciec byłby naprawdę szczęśliwy gdyby mógł być pani pomocny. Jest pani młoda, ma pani prawo do miłości i szczęścia, jakby to jednak zawiodło, to proszę pamiętać, że cofam moje powiedzenie i nie boję się konkurencji tak pięknej macochy.

— Dziękuję pani, jak i jej ojcu za zaszczyt i zaufanie. Uważam, że byłoby to może mądre i szczęśliwe wyjście Pani rozumie, pani Wando, że należy przede wszystkim myśleć o synu, którego trzeba wychować i kształcić. Małżeństwo z miłości już leży poza mną. Wydaje mi się, że to tak dawno... Byliśmy obydwoje samotni... jego wychował wujek, mnie ciotka. Pobraliśmy się ze szczerej miłości, oboje młodzi do walki o byt zdolni. W tej walce nie mieliśmy nawet czasu pamiętać, że jesteśmy młodzi i szczęśliwi... Trzeba było pracować, by spłacać raty za urządzenie, więc pracowałam na prowincji, a mąż w mieście. Później przyszło na świat dziecko. Zrezygnowałam z posady, a kiedy wreszcie było nam razem dobrze i wygodnie, wtedy mąż umiera na zapalenie ślepej kiszki. W propozycji ojca pani tkwi dla mnie pozornie szczęście, jednak jestem za uczciwą by wyjść za mąż dla korzyści. Spróbuję sobie życie ułożyć wspólnie z Tolkiem, a zobaczymy co przyszłość pokaże. Dobrze?

II.

Siedziała nareszcie w przedziale trzeciej klasy. Na drugą klasę nie mogła sobie pozwolić, ze względu na długą i tak kosztowną podróż, nawet pomimo to, że miała i ona i Tolek kolejową zniżkę.

Pociąg rytmicznie powtarzał swoją monotonną recytację kół: tam-ta-ta, tam-ta-ta...

Wyjechali z rana. Chłopak był tak zajęty podróżą, że jednej sekundy nie usiedział na miejscu. Gadał bez przerwy i Halina była chwilami w kłopocie, jak na wszystkie jego pytania odpowiedzieć. Wobec tego nie miała czasu rozkoszować się podróżą. Nawet w nocy nie zmrużył oka.

Nad ranem zajechali do celu. Dorożka zawiozła ich do farmy, w której przebywał stryj Karol. Pan Stromski nazywał farmą zakład, a właściwie szkołę gospodarczą, której był kierownikiem.

Szkoła gospodarcza to cała osada... Przepiękne zabudowania gospodarcze i budynki szkolne, sady ogrody... Świat dla siebie, pomimo bliskości miasta i wody... W oddaleniu dom mieszkalny dyrektora. Mieszkania uczniów i nauczycieli znajdowały się w budynkach szkolnych.

Nadzwyczaj dodatnie i sympatyczne wrażenie odnosiło się przy zwiedzaniu tej osady, oderwanej od ruchu bliskiego, przemysłowego, jakby trochę portowego miasta...

Stryj Karol był starym kawalerem. Pod szorstką powierzchownością ukrywał się zacny, szlachetny człowiek.

Wychował bratanka Tolka Stromskiego i nie uchylał się nigdy od chęci pomocy i wdowie po nim i synowi, który nosił imię po ojcu. Ale Halina była kobietą dzielną i ambitną. O pomoc nie prosiła.

— Przyjedzie, co tylko patrzeć, z małym Tolkiem. Gospodyni Tekla będzie trochę gderała, tak tylko dla pozoru, nie ze złego serca. W gruncie rzeczy będzie zadowolona z tej zmiany. Raz na rok można trochę hałasu chłopczyka wytrzymać. Trzeba będzie nieco fizjognomię uporządkować — medytował stryj — bo obok pięknej Haliny nie można chodzić z nieogoloną brodą i z powykrzywianymi obcasami. Tekla wprawdzie uważa, że należałoby nowe ubranie kupić i wystroić się w nie... E... Obejdzie się, kupię chyba Tolkowi. Pokoje przygotowane, jedzenia tu w bród, więc mogliby zajechać.

I zajechali... Ileż było radości i opowiadania... od samego przywitania...

— Ależ wyrosłeś zuchu. Ileż to już masz lat? — Co? Dwanaście kończysz? to niemożliwe. Do trzeciej gimnazjalnej przeszedłeś? Bez dwóji? No, to muszę pozwolić ci samemu powozić... A mamusia? Hm, coś mi pobladła — ładna, bo ładna, może nawet ładniejsza, ale coś jakby posmutniała... Cóż to z tobą, Halko? Przepracowana, a może... zakochana? Bo można się tego spodziewać. Tolkowi przydałaby się trochę „twardsza ręka".

— Ależ... coś podobnego! Co też stryjaszek mówi? Zakochać się... zamąż wychodzić... to jakoś trudno teraz się z tym pogodzić! Maj minął.

— Oj, oj, jak widzę to zaczyna się dosyć obiecująco. Mów dalej. Jestem przecież waszym opiekunem, wprawdzie tylko honorowym, bo teraz już mężczyzna niekoniecznie potrzebny jako opiekun. Matka według ustawy sama jest opiekunką syna, a dumna Halka tak chciała, ale może się jeszcze na coś przydam, więc możesz mi się zwierzyć.

— Na pewno zwierzę się stryjowi. Dlatego właśnie do ciebie przyjechałam Miałam inną propozycję, ale nie przyjęłam, bo trzeba się dopiero dobrze namyśleć, zastanowić. Tyle się ostatnimi dniami zdarzyło, że wyszłam zupełnie z równowagi.

— Widzę, widzę, moje dziecko. Mam nadzieję, że my to tutaj naprawimy. Teraz pochwalimy Teklę, to znaczy zjemy co nam dobrego przygotowała. Tolek... a urwis! już go nie ma. Tolku!

— Oj stryjaszku! W stajni mały źrebaczek, taki przepiękny. A indyk na mnie wyskoczył, dlaczego on taki zły?

— Bo pani indycżyna prowadzi małe indyczęta i pana indyka ignoruje...

Zaraz drugiego dnia udała się Halina do stryja Karola, by otworzyć mu swoje serce i poprosić o radę.

Opowiedziała mu wszystko, wszyściutko, począwszy od znajomości z Inkiewiczem, aż do znajomości z Friedmannem i jego córką.

— Może stryjcio tego nie zrozumie, ale proszę mi wierzyć tak jakoś to samo się złożyło. Nie miałam doprawdy czasu zastanowić się, a już stało się. Wiem, że to wstrętne, przecież Inkiewicza nie kochałam...' Oj boję się, że stryj tego nie zrozumie...

— Ależ, dziecko! Rozumiem doskonale, masz trzydzieści cztery lat, a jesteś piąty rok wdową, rzecz naturalna, miałaś tylko pecha, że trafiłaś na bubka; drugi raz nie wpadniesz. Dałaś mu nauczkę. Dumny jestem z ciebie. Wprawdzie trzeba być zawsze przygotowaną na wszystko, bo czy tak, czy owak, kobieta musi rachunek zapłacić, dlatego wam tak z poszanowaniem ręce całujemy. Żebym ja miał o dwadzieścia lat mniej, to bym ci się oświadczył, a że dostałbym odkosza, więc jestem teraz szczęśliwy, że mogę być starym wujem. A na coś się przecież przydam... Ty sobie niepotrzebnie wmawiasz, że cię znajomość z Inkiewiczem skompromitowała. Najlepszy dowód, że tak nie jest, jeżeli taki Friedmann oświadczył się o ciebie... Ileż on ma lat?

— Pięćdziesiąt cztery stryju, ale wiek jego nie gra tu żadnej roli. Widzi stryjaszek, jest mi obojętny, to chyba nieuczciwość za niego wychodzić. Wprawdzie Tolek wszedłby we wspaniałe warunki, bo kto wie czy ja go będę mogła należycie kształcić dalej. Tak się okropnie czuję teraz na posadzie po tym wszystkim. Dlatego przyjechałam stryja prosić, by stryj postarał się dla mnie o posadę gdzieś bliżej siebie. Nie będziemy tak sami i ludzie nie będą się tak mną interesowali, a mężczyźni nie odważą mi się tak bezczelnie narzucać. Będę miała Tolka u siebie i nie będę potrzebowała wychodzić za jakiegoś obojętnego mi bogacza... Dobrze nam będzie z Tolkiem i stryjem. A może...

— No, co może...?

— Może... Właśnie nie wiem, co chciałam powiedzieć.

— A ja wiem. Może przyjdzie ktoś, kogo pokochasz. Więc masz jednak nadzieję, że istnieją jeszcze mężczyźni, za którymi warto tęsknić... Dzięki Bogu! Co do przyszłości Tolka, to już moja rzecz, proszę się o to nie martwić... Co do ciebie i tej posady, to się zrobi. Friedmann może z nadzieją czekać.

— Złociutki stryjaszku — I niezliczone pocałunki padają na pomarszczoną twarz i łysą głowę.

— No przestańże, dziecko; gorąco mi się robi, a to rzecz śmieszna w moim wieku.

*

— Słuchajcie, Teklo, już zawsze będę was słuchał. Ale co teraz zrobić? Muszę jechać do prokuratora sądu. A w co się ubrać?

— Pięknie teraz pan gada, ale trzeba było słuchać, co ja mówiłam. Nie trzeba się opuszczać, stanowisko jest i jakie stanowisko! Choć się na wsi siedzi, miasko blisko. Ładnie mi pan dyrektor będzie teraz wyglądał.

— Co tu zrobić, Teklo? Krawiec nie uszyje, a muszę koniecznie pojechać do naczelnika.

— No, no, panie dyrektorze, tak źle znów nie jest. Zaniosę to czarne ubranie do krawca Śliwki, oczyści, wyprasuje i do wieczora będzie jak nowe Pan dyrektor rosły jak... — Chciała powiedzieć jak jodła, ale przypomniała sobie, że jodła nie jest tak gruba.

— Powiedźcie, Teklo, śmiało: jak sękaty dąb. I z tego jestem zadowolony i dumny. To uważacie, że będzie się można w tym ubraniu pokazać?

— Ależ naturalnie, ono jest jeszcze w dobrym stanie Ja zawsze naprzód muszę gderać, inaczej pan dyrektor zbyt by się opuścił, jakbym cicho siedziała...

— Tolku, nic nie mów mamusi, jutro przed południem jedziemy sami do miasta, Franek jest zajęty, więc ty dopilnujesz koni, jak ja wysiądę.

Stryj Karol powrócił z miasta w wyśmienitym humorze. Podczas obiadu tak dowcipkował, że aż obsługująca Tekla gorszyła się nie na żarty.

— Mówię ci Halko, nie najgorsze miasto ta nasza stolica, nawet mieszkanie już mam dla ciebie upatrzone.

— Co też stryjaszek plecie, czy mieszkanie to pierwsza rzecz? Trzeba najpierw załatwić w sądzie u naczelnika.

— To zapytaj Tolka przed jakim gmachem pół godziny czekał i koni dzielnie pilnował.

— Złociuchny stryjaszku.

Rapsod o nadchodzącej wiośnie

Coraz później wieczornieje woal smutku — coraz głośniej — —
w siwiznę niezgaszonych szronów zanurza palce żal:
a już mroźną idzie skibą trud wiosenny — — rapsod wiosny
i po izbach dzwonią pola, pachnie dal.

Śnią się łany, śnią ugory, łąki, trawy — —
ziemia dyszy przeogromnej treści tchnącej poematem
w wodę rzek i zimne stawy,
w których toni słońce będzie grać gorący i ogromny hymn tematem.

Wiatr się zerwie zmieszać błękit w chmur poszumy,
runąć śniegiem na zagony dmące wiosną
trudno wówczas jest uciekać od zadumy;
że spęczniałe piersi ziemi pąkiem rosną...

Więc odejdzie chłód siekący zesztywniałe twarze,
usta ustom się roześmieją wielką wieścią:
wsie pobiegną pełne trzasku rodzących się zdarzeń,
jak rumaki; w pęd na pole, szukać nowych uprzytomnień treścią.

Tak po mokrych idąc skibach boso
poprowadzić twardą dłonią chleborodny pług,
bo w naręczach złote ziarno gdy wyniosą,
świat rozkrzyknie się tworzeniem — uśmiechnie się Bóg.

Janka Sochańska

— Dobrze, dobrze, tylko żadnych całusów i uścisków, przyjemne to wprawdzie, ale Tekla by mi głowę zmyła, jakbym zmiął ubranie, umyślnie na tę audiencję wyprasowane.

— Niechże stryjaszek prędziutko opowiada.

— Masz Tolku łegruminę i jazda do Franka. Może cię posadzić na Wierną, bo Ferek ładnie by cię urządził.

— Wczoraj siedziałem na Ferku i utrzymałem się.

— Zuch z ciebie, ale dziś stanowczo proszę siadać na Wierną, bo chcę mieć pół godziny spokoju. Mam dużo do opowiedzenia mamusi.

— Jak stryj załatwił?

— Dobrze. Ubawił się prezydent. Powinnaś była jeszcze zapłacić pięć złotych za ten policzek wymierzony In....

— Na miłość boską, co stryj naopowiadał? To okropne.

— Proszę tylko spokojnie. Już ja wiem, co i z kim mam gadać. Tych pięć złotych, to tylko mój koncept, naczelnik nie powie nigdy słówka za dużo. Proszę zrozumieć, że nasz prezydent, to nie wasz radca Sikora, więc byle jakiej gęsi do biura nie przyjmuje. Trzeba było umotywować, dlaczego tak na gwałt chcesz uciekać z poprzednio zajmowanej posady. I co tu'kręcić, to co zrobiłaś, ujmy ci nie przynosi. Naczelnik Liczewski należy jeszcze do naszej starej gwardii i wie co się temu bubkowi należało. No, nie myliłem się.

— Ależ, stryju, jak ja mu się na oczy pokażę?

— Odkądże jesteś tchórzem? Proszę pamiętać, że nie wstępujesz do klasztoru. Będą się w sądzie i w mieście koło ciebie kręcić jak muchy koło miodu. Odprawisz z kwitkiem jakiegoś chłystka, a ten wyszpera coś o tobie i zacznie się znowu szeptanie... Trzeba gwóźdź trafić od razu w główkę i koniec. Jestem pewny, że to twoje otwarte wystąpienie, podobało się Liczewskiemu. Ma on bardzo mądrą żonę, literatkę. Duzo młodsza od niego, dzieci nie mają, więc pracuje społecznie. Nadaje zresztą całkiem naturalnie ton w mieście. Jak ci się uda zyskać jej sympatię, to nikt cię nie wytrąci z pozycji.

— Ale czy to już pewne stryjaszku?

— Urzędowo zawiadomi cię o tym naczelnik później, ale ja uważam rzecz za załatwioną. Zapewnił mnie prokurator sądu, a ten nie mówi na próżno. Znam się z nim zresztą, jeździmy razem na polowanie. Dlatego zaraz potem obejrzałem mieszkanie w kamienicy piekarza Berki, na drugim piętrze. Może to tak trochę i poddasze, ale odpowiednie i nie drogie. Dwa takie małe pokoiki i jeden większy z balkonem, kuchenka także. Mnie się podoba, zobaczysz zresztą sama.

— Dziękuję, stryju.

— Już widzę, że ja muszę tobą komenderować, bo coś twoja odwaga nie w porządku. Będziesz zapewne musiała jeszcze na sierpień wracać do urzędu na stare miejsce. Tolek zostanie tu, Tekla się struje, Franek się zlajdaczy, ale wytrzymam jakoś. Ty pojedziesz, a jak dostaniesz urzędowe zawiadomienie, to zapiszę tu Tolka w mieście do gimnazjum. Pozabierasz swoje manatki i urządzenie od ekspedytora, a ja cię uroczyście wprowadzę do twojego własnego gniazda. Potem zacznę odpoczywać i ja. O to zaś, żebym się znów od tego spokoju nie rozlył, to wy się z Tolkiem, przychodząc w każdą niedzielę i święto postaracie.

III.

Nastało dla Haliny nowe życie: okres pracy, obowiązków i słodyczy macierzyńskiej. Była jakby w kołowrocie przez cały dzień. Wcześnie rano zrywała się z łóżka, by ugotować śniadanie i wyprawić Tolka do szkoły.

Została przydzielona do biura prokuratora sądu okręgowego i miała odpowiedzialne stanowisko. Stosunek jej do przełożonego i towarzyszy pracy był miły, ale ściśle urzędowy. Pracowała od godziny 9-tej do 12-tej, następnie od 14-tej do 17-tej. Obiad przynosiła posługaczka z restauracji, kolację sama sobie w domu gotowała, a stryjaszek dostarczał prowiantów. Protestowała przeciw temu, ale on się jeszcze mocno oburzył.

— Należy mi się, bym żywił pół tuzina dzieci i żonę, to już połączone z moją posadą, więc niewiadomo komu miałbym to darować, podczas gdy ty będziesz miała braki. Powinienem był dawniej o tym pomyśleć...

Niedziele i święta spędzała Halina z Tolkiem chętnie u stryja. Tolek teraz wiedział, że żyje. Używał sobie chłopczysko, a Halina była szczęśliwa. W ogóle ta zmiana wszystkim wyszła na korzyść, bo i stryj Karol ją sobie chwalił. Halina rozpisywała się o tym z zadowoleniem w liście do Frydy:

„Frydeczko. Mam wrażenie, że znalazłam się na przedmieściu raju, bo do raju brak mi chyba tylko Adama...

Co za kochane miasto, w którym obecnie mieszkam, nie masz pojęcia, wydaje mi się, że tu byłam zawsze i być muszę.

Pisałam ci już, że mam śliczne mieszkanko, słoneczne i moje kochane kwiaty, których liczba się powiększyła. One są także zadowolone i kwitną na wyścigi. W dodatku mam sympatyczną gospodynię i interesującego sąsiada. Interesujący chyba dlatego, że nie miałam jeszcze przyjemności poznać go.

Stryjaszek, to anioł, tylko, że za mało eteryczny i bez aureoli włosów, tak, że ze skrzydłami wyobrazić go sobie nie powinnaś. Paradny on i dowcipny, pomimo sześćdziesięciu pięciu lat, ruchliwy i cięty. Jego kucharka a zarazem reprezentantka domu, Tekla, jest zadowolona z mojej częstej obecności, bo pan dyrektor zaczyna się porządnie ubierać, czego dawniej nie mogła na nim wymóc.

Tolek? — nie pytaj raczej. Wiosłuje, jeździ konno, biega z Jeżem (pies stryja) w zawody, koleguje z „nadwornym" stangretem Frankiem, zajada owoce i tuczy się kurczętami. Jestem pewna, że tego roku oberwie dwóję z matematyki, bo tak się opuszcza. Za to wyrósł i zmężniał.

O sobie na razie nie mam co do zanotowania, bo już pisałam, że jestem na przedmieściu raju.

Co słychać u ciebie? Co w mieście?... Czy Wanda pisze? Pisała mi w ostatnim liście, że ojciec się z tobą widuje i że cię polubił... Umiałaby moja Fryda grać rolę pani dyrektorowej... co? Kuj żelazo póki gorące...

Ja podobno jeszcze wierzę, że istnieją mężczyźni, za którymi warto tęsknić. Tak twierdzi stryjaszek. Wobec tego czekam...

Coś mi się Wanda za dużo nowym otoczeniem zachwyca... Warto by zbadać. Jak będzie na święta Bożego Narodzenia u Ciebie, lub Ty u niej, to powinnaś sprawdzić, co czyni jej pobyt na studiach tak miłym...

Czy Ty dużo grasz? Ja bardzo dużo..."

Dni płynęły szybko i spokojnie. Ani się spostrzegli, jak nadeszły święta Bożego Narodzenia, które z wyjątkiem wigilii chciała Halina spędzić u siebie.

Tak bardzo lubiła to swoje mieszkanie i chciała się nim nacieszyć przez święta. Urządziła jeden pokoik dla Tolka, drugi obok dla siebie, a w jadalni stał fortepian i kwiaty, dużo kwiatów.

Co jej te kwiaty przysparzały roboty, nie do uwierzenia, a jednak bez nich sobie zycia nie wyobrażała.

Czuła się szczęśliwa kiedy wieczorem po odbytej lekcji z Tolkiem podała kolację, a potem ustawiła kwiaty z okien na fortepianie, otworzyła go i grała...

Zaczynała od ciężkich utworów Bacha, przechodziła do Griega, Szopena, Liszta, a kończyła słowiańskimi tańcami, lub humoreskami Dworzaka. Grywała także smętne piosenki rosyjskie i ukraińskie... Tolek słuchał, rysował i przeważnie w ubraniu zasypiał. Trzeba go było rozbierać i kłaść do łóżka, bo spał przy rozbieraniu...

W pierwsze święto Tolek wrócił zmęczony od stryja i śpi już. Kwiaty, jej kwiaty, hodowane troskliwie za szybami okien, wystawione tylko na promienie słoneczne, ale chronione przed mrozem, napełniały ciepły pokój subtelnym i słodkim zapachem, swoistym zapachem kwiatów zimowych. Na ulicach ruch, życie, gwar świąteczny.

Na stole w wazonie wielki bukiet białych, subtelnych róż, które wczoraj nadeszły od Wandy, raczej od dyrektora, jak Fryda zdradziła.

Pod lazurem greckiego nieba, w złocistym słońcu Hellady powstał mit o róży. Zrodziła się ona wraz z Afrodytą, z piany morskiej.

Halina usiadła przy stole i zapatrzyła się z zachwytem w te subtelne białe róże... Po chwili wyjęła nadeszłe wczoraj listy, by je jeszcze raz przeczytać spokojnie.

Było kilka kartek od koleżanek, list od Wandy i Frydy i życzenia świąteczne od dyrektora Friedmanna.

„....Nie udawaj naiwnej Halo. Doskonale wiesz dlaczego mi Friedmann tak asystuje, że aż koleżanki z zadrości pobladły, a „stary" dokładnie mi się przygląda, widocznie chce się przekonać, co taki bankier, czy dyrektor może we mnie widzieć. Zatem ja muszę temu panu opowiadać, jak pewna pani Halina usadowiła się na nowej posadzie, jak się tam czuje, co robi, a głównie, czy się tam w kim nie zakochała. To też chciałabym to sprawdzić, bo ten „interesujący sąsiad" może stać się niebezpieczny.

Nie piszesz, czy on niski, czy wysoki, brunet, czy blondyn. To wydaje mi się podejrzane. Wiesz, że ja zawsze słyszę jak trawa rośnie, więc uważaj, byłoby mi żal dyrektora.

Wanda przyjechała, jest jeszcze elegantsza, entuzjazmuje się nowym otoczeniem i... pewnym młodym, znanym kompozytorem. Dlatego ćwiczy się teraz dużo w muzyce. Dyrektor wprawdzie nie zachwyca się opowiadaniem o tym panu, ale udaje, że podziela zdanie córki, jak zresztą zawsze. Rozczulające to było, gdy nieśmiało podał Wandzie myśl posłania ci wiązanki róż. Sam je starannie watą owinął, by broń Boże nie zmarzły w drodze. Samo przez się rozumie się, że i ja otrzymałam pęk róż, na który popatrzeć przyjdą w święta koleżanki. Będą odchodzić płoteczki, co mnie niezmiernie cieszy i bawi..."

„Haleczko — pisze Wanda — jestem u ojczulka, czuję się w domu dobrze, ale z miastem nie mogę się pogodzić. Jakie ono stare, czy brudne po czarującym mieście nad brzegiem Wełtawy. Musisz to miasto poznać, by mnie zrozumieć.

Wyjeżdżam, lub chodzę często na Hradczyn, by rozkoszować się stamtąd widokiem na stuwieżową Pragę, wieczorem spaceruję na pobrzeżu, lub w Stromowce.

Teraz zimową porą wydaje mi się to miasto trochę poważniejsze, czy nawet smutniejsze, bo odpadły moje najmilsze spacery.

Jak ci już pisałam, wynajęłam sobie w Pradze dwa piękne pokoje i wspaniały fortepian. Ćwiczę teraz dużo. Gram większą część utworów Spały, pisanych na fortepian (pisze teraz dla mnie na skrzypce...)... Poznasz kompozytora, bo przyjedzie do nas na święta wielkanocne i ojczulek nasz swoim obszernym autem zawiezie do Ciebie.

Jaka szkoda, że nie możesz spędzić świąt Bożego Narodzenia z nami. Spodziewam się długiego listu od Ciebie.

Czy jesteś w dalszym ciągu zadowolona ze zmiany i nowego otoczenia tak, jak początkowo?..."

Kochana Wanda i Fryda, jak to przyjemnie mieć takie oddane przyjaciółki.

Ustawiła kwiaty, otworzyła fortepian i zaczęła grać. Łagodnym głosem śpiewała stare, prastare piosenki swoich przodków, których znała tylko z opowiadań ciotki...

Zapukano do drzwi. Kto to może być? Dziewiąta godzina już.

— Proszę.

— Jestem sąsiad pani z pierwszego piętra, doktór Wraz... Tak cicho pani dziś śpiewa, że z mego mieszkania nie mogłem dobrze ani słów, ani melodii słyszeć. Pozwoli pani chwilę tu pozostać

Nie czekając na zaproszenie, sunął ku fotelowi w kącie. Halina aż zdrętwiała ze zdumienia, pomimo to nie podniosła się z miejsca.

Znała doktora Wraza z widzenia, był lekarzem sądowym. Wiedziała, że mieszka w tej samej kamienicy, ale nigdy się w niej nie spotykali. Nie wiedziała natomiast, co ma o jego postępowaniu myśleć. Teraz w ogóle nie chciało jej się myśleć. Postanowiła grać i rzekła krótko:

— Proszę.

Zaczęła grać.

Początkowo krępowała ją obecność obcego człowieka, ale czarujący urok tkliwych tonów pociągał ją za sobą. Grała swobodnie i śpiewała, a zakończyła prostą kołysanką kolendową „Lulajże Jezuniu..."

Ciąg dalszy nastąpi

TAJEMNICZY PODRÓŻNY

HELENA ZAKRZEWSKA

W roku pańskim 1912 expres do Genui oddalał się coraz bardziej od Nicei. Z hukiem i stukiem toczył się samym brzegiem morza i sapiąc białą parą wymijał rozrzucone po skalistych wzgórzach malownicze osady Jasnego Brzegu.

— Cap d'Ail ...

Słońce wstawało.

Wille z czerwonymi dachami, tonące w powodzi caprifolium, kwitnących kaktusów i ciemnozielonych pinii, wyglądały jak domki karciane.

Stado mew krążyło nad wodą.

— Monaco! A oto skała samobójców — westchnęła pani Nita.

Przypomniała sobie pewnego błękitnookiego Szweda. Nieszczęsną ofiarę rulety.

— Z tej skały właśnie ...

Sympatyczna postać.

— Ale ręce mu się trzęsły, gdy przypadkowo zgarniał ze stołu kilka banknotów ...

Pani Nita zatrzymała się w polskim pensjonacie w Nicei, lecz ile razy jeździła do Monte-Carlo spotykała go stale i tu, i tam. Czy to w salach gry, czy w ballu, czy też na terasie kasyna i uśmiechali się do siebie z daleka.

— Gdyby był do mnie przyszedł po ratunek ...

I machinalnie obmacała swoje udo.

Tam, powyżej kolana, pod cieniuchną jedwabną pończoszką była paczka banknotów starannie owiniętych w batystową chusteczkę i przytwierdzonych agrafką.

— Tak będzie bezpieczniej ... A szczęście mi sprzyjało w niebywały sposób. Chyba Stach mnie zdradza — pomyślała o mężu.

Po chwili odeszła od okna i nie śpiesząc się układała na siatce liczne wiązanki kwiatów, którymi ją obdarzono na pożegnanie.

Bukiet szkarłatnych róż przykuł na dłużej jej uwagę.

— Od tego Węgra — jakżeż on się nazywał — a pożerał mnie wzrokiem ...

Roztworzyła swój podróżny neseser.

— Karmelki — sięgnęła po kryształowe pudełeczko ze srebrną pokrywką i łakomie oblizała swe prześliczne wargi.

Skórzana nadymana poduszęczka też się znalazła.

— Jakie szczęście, że sama jestem w przedziale. Te ranne pociągi odstraszają podróżnych. Będę mogła odpocząć, wyciągnąć się, zasnąć ...

Czuła się nad wyraz zmęczona po całonocnej hulance w pałacu de la Jetee. Uczta pożegnalna. Wprost stamtąd całe towarzystwo odprowadziło ją do pensjonatu. Miała czas tylko się przebrać w swój kostium podróżny i jazda na stację.

Ułożyła się do snu. Przymknęła powieki.

Krótka chwila błogiego zapadania się w nicość przerwana została. Niewyraźny szelest zmiętej gazety kazał jej oczy otworzyć i skonstatowała z pewną irytacją, że nie jest już sama w przedziale.

Na przeciwległej ławce roztasowywał się jakiś mężczyzna. Obserwowała go chwilę spod długich rzęs. Rozpiął palto z wysoko postawionym kołnierzem. Z rzucił z głowy filcowy kapelusz głęboko nasunięty na oczy. Zdjął z nosa ogromne czarne okulary. Usiadł i uparcie zaczął się wpatrywać w jej wyciągnięte na ławce nogi.

Poruszyła się niespokojnie i odruchowo obciągnęła krótką wełnianą spódniczkę swego kostiumu.

— Niechżeż pani tego nie robi — zaprotestował nieznajomy mężczyzna doskonałą francuszczyzną. — Pani ma nogi klasyczne piękne, nogi Diany, więc nie należy ich ukrywać.

Dziwna desinwoltura. Pani Nita tak była nią zaskoczona, że aż zerwała się z ławki, jak podrzucona sprężyną, i gniewnym wzrokiem zmierzyła swego towarzysza podróży.

Rozbroił ją swym wyglądem. Teraz, bez tych potwornych czarnych okularów, wydał się jej niezwykle przystojnym. Piękny, prawdziwy mężczyzna. Typ odpowiadający jej gustowi. Poza tym pan całą gębą. Wytworny, wyrafinowany człowiek, a przy tym uśmiechał się do niej tak sympatycznie.

— Skąd ja go znam? Te oczy, ten uśmiech, ten rasowy profil ...

Nieufność pierzchła.

No i po chwili flirtowali ze sobą w najlepsze.

Po obopólnej wymianie mnóstwa bardzo subtelnych komplementów nieznajomy mężczyzna zaciekawił się:

— Ośmielę się spytać — rzekł — czy ta chora nóżka bardzo panią boli?

— Jaka chora nóżka — zdziwiła się.

— Ta lewa. Ta na której widziałem przed paru minutami bandaż.

— To nie bandaż — wyrwało się pani Nicie i przygryzła wargi.

— A zatem ka-pi-ta-ły — zaśmiał się podróżny, skandując w sposób znaczący ten ostatni wyraz. — Kobiety mają ten zwyczaj. Ukrywają swe skarby pod ... spódniczką.

I dodał po chwili.

— Ciekawe! Bardzo ciekawe! A jak pani to zrobiła, że powracając z okolic Monte-Carlo ma pani jeszcze pieniądze na sobie?

— Szczęście mi sprzyjało ...

— No, no! Nie do uwierzenia, gdybym na własne oczy nie widział tych pieniędzy. Zazdroszczę pani! Z serca zazdroszczę, gdyż mnie prześladował niebywały pech. Nigdy nic nie trafiłem, więc muszę się przyznać, że zgrany jestem do nitki.

W tej samej chwili garson z restauracyjnego wagonu rozsunął drzwiczki przedziału i zaproponował ranne śniadanie.

— Proszę o kawę, bułki, szynkę, dwa jajka na miękko — dysponowała pani Nita i zwróciła się do swego towarzysza podróży: — A pan?

— Ja nic — odburknął niechętnie, odwracając się śpiesznie w stronę okna.

Zaś po wyjściu kelnera westchnął i rzekł:

— Dlaczego się pani spytała? Przecież już pani mówiłem, że nie mam grosza przy duszy, więc muszę się z kawą pożegnać ...

Uśmiechnęła się.

— Czyż aż tak źle. Cóż za nieoględność! No trudno. Biorę ten wydatek na siebie i zafunduję panu śniadanie.

Ukłonił się z ręką na sercu.

— Nie będę się pani sprzeciwiał. Zbyt mi pochlebia fakt, że pani chce mnie wziąć na swoje utrzymanie. Zresztą nie wypadam ze swojej roli. A uśmieje się pani, gdy jej powiem, że właśnie mi Alfons na imię.

— No to przejdźmy do restauracyjnego wagonu.

Zachnął się.

— O nie. Na to przystać nie mogę. Alfons nie Alfons, lecz jeżeli mam korzystać z pani portmonetki, to tutaj w przedziale. Krokiem się stąd nie ruszę.

Po wspólnie spożytym, obfitym śniadaniu pani Nita poczęstowała papierosami swego towarzysza podróży.

— Cóż za prześliczne cacko — wykrzyknął, oglądając na wszystkie boki jej platynową papierośnicę.

A była istotnie prześliczna. Prawdziwy jubilerski klejnot wysadzany drogimi kamieniami i z dużym monogramem z brylantów pośrodku.

— Wartościową jest też — kiwał głową, przerzucając niedbale papierośnicę z ręki do ręki.

I mówił.

— Zakochałem się w pani od pierwszego wejrzenia, więc musi mi pani dać swój dokładny adres w Warszawie. Jestem szalenie impulsywny. Kto wie? Ani się pani obejrzy jak którego poranku zjawię się u niej. Przepadam za takimi nieobliczalnymi eskapadami. Na przykład ta obecna. Niby z pozorów sądząc niepomyślna, a dała mi możność poznania jednej z najbardziej uroczych kobiet.

— Bez przesady! Oto mój adres. A pan skąd i dokąd?

— Na razie z Monte-Carlo, a dokąd sam nie wiem. Może do Rzymu, może do Wenecji, a może ... może tylko do następnej stacji ...

Zamyślił się, lecz gdy pociąg zaczął zwalniać nałożył śpiesznie na nos swe czarne okulary i wychylił się oknem.

Co tam zobaczył — niewiadomo, ale odwrócił się nagle i schwycił oszołomioną panią Nitę w objęcia. Ucałował namiętnie jej usta i nie czekając na zatrzymanie się pociągu otworzył drzwiczki i wyskoczył z wagonu.

— Cóż za oryginał — westchnęła pani Nita, doprowadzając do porządku swe zwichrzone od uścisku włosy.

Była wzburzona.

— Ten pocałunek ...

Ochłodła po chwili i zniecierpliwionymi ruchami zaczęła szukać wokoło siebie swej drogocennej papierośnicy.

— Gdzież ona jest? Nigdzie jej nie widzę — zaglądała pod ławki. — Przepadła jak kamień w wodzie ...

I irytowała się sama na siebie:

— O Boże! Jakaż ja głupia! Tak jak byle naiwna prowincjonalna gąska dałam się nabrać internacjonalnemu złodziejowi. Naciągnął mnie na wydatek i w nagrodę skradł mi papierośnicę i pocałunek ...

Westchnęła ciężko.

— Ale nie żałuję. Taki był sympatyczny ...

— — — — — — — — —

W kilka dni po tym zdarzeniu pani Nita, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, otrzymała z poczty ogromne jak młyński kamień pudło najwykwintniejszych paryskich czekoladek, pośród których, owinięta starannie w jedwabną tkaninę, spoczywała jej cenna papierośnica dodatkowo przyozdobiona wysadzaną szafirami literą A i numerem trzynastym.

Zaś w papierośnicy znalazła kartkę następującej treści:

„Niezapomnianej towarzyszce podróży od zawsze jej oddanego i zawsze Alfonsa ... ale XIII króla Hiszpanii."

KRZYWDA

R. ST. PELC

Krasawica to ona była. Włos czarny, spadający w naturalnych pierścieniach, oczy lazuru pogodnego nieba, usta mieniące się barwą malin, co dojrzewają, a nie grożą jeszcze ciemną czerwienią. Ona, córka starego Macieja, co to słynął z wielkiej pobożności i statku, była w wieku, który niósł z sobą czar młodości i dni dojrzewania.

Wysmukła jak topola, posiadała kształt młodej sosny, cała piękna, wprost niebezpieczna. O tym niebezpieczeństwie zwykł mówić jej stryj, a brat rodzony Macieja. Znawca to był dusz ludzkich nie byle jaki. Z oczu człowieka czytał myśli, niekiedy nawet wypowiadał słowa, które po dłuższym lub krótszym czasie znajdowały potwierdzenie w życiu, co przyniosło mu tylko tyle, że ludziska sprzysięgli się nań i jedno wszyscy wiedzieli, iż „z diablem kupczy".

Stary Maciej, że to chłop był nabożny i rozum posiadał nie lada, nie zrażał się tym i brata szczerze przyjmował nadal u siebie wiedząc, że Jan znał świat i w Boga wierzył, więc z siłami nieczystymi nie mógł mieć nic wspólnego.

Ale, jak to mówią, nie trzeba wiele, by zły los, co igra po świecie wdarł się w spokojne życie mieszkańców słomianej strzechy.

Pewnego wieczoru, a było to w dzień kiedy pierwszy raz Wojtek Chmura poszedł w konkury do pięknej córy Macieja, zaczęło się nieszczęście.

I jak bywa nie przyszło od nikogo, lecz od zawiści ludzkiej a z nim szemrania i pogłoski, jakoby Janka od dnia tego latała za Wojtkiem, że się spotykali za brogiem, gdzie mogli grzeszyć bezkarnie z dala od oczu ludzkich, że wychodziła w noc do niego, gdy stary Maciej utrudzony pracą pogrążony był w twardym śnie, że i że ...

Po prawdzie to wszystko było kłamstwem, aleć kłamstwo przyjmuje się prędzej niżeli prawda, a że ten i ów czuł żal do Macieja (jak przecie bywa na świecie) — kłamstwo przybrało obraz prawdy.

Wojtek w oczach ludzkich nie stracił wiele. „Bo jeśli dziewczyna taka?" ...

Za to Janka wylewała gorzkie łzy z powodu oszczerstwa, co raniło jej czyste serce.

Wojtek siedział na ośmiu morgach i żonę musiał sobie szukać sam, bo ojce jego leżeli już spory czas w mogile, więc niejedna matka dorastającej córki czuła żal do Janki Macieja za to tylko, że Wojtek ją właśnie upatrzył sobie za żonę.

A dyć szczera prawda, że zawsze swojskie dziecko nie takie jak insze; ładniejsze, roztropniejsze no i wszyscy powinni podziwiać i pochwalać przed matką jego zalety i dobroć, nawet wtedy, gdyby to miało się mijać z prawdą. (Tak przecież bywa na świecie.)

A tu jakoś Wojtek nie chciał zwrócić uwagi na krasawice Hanki Antkowej ani Małgorzaty od Brzózek. I nikt inny, chyba ten, który miał przyjemność w wysłuchiwaniu codziennych plotek, czego uniknąć nie mógł przy spotkaniu rozklekotanych gospodyń.

Wojtkowi nie smakowały fantazją ubrane nowiny, a zresztą trzymał się zasady: że lepiej zwracać uwagę na swoje własne postępowanie, niż na cudze błędy, dlatego też popadł w niełaskę wsiowych władczyń krytyki.

Tak Hanka, jak i Małgorzata chciały budować jego szczęście, ukazując w barwnych słowach życie, które mogło być jego udziałem, gdyby tylko chciał pojąć jej Helę za żonę.

Czasami nie zgadzały się obie, gdyż i Małgorzata miała swą Bronię, którą z chęcią oddałaby za żonę Wojtkowi, jedno tylko doprowadzało je do porozumienia, a to to, że może być Hela, może być Bronia, byle nie córka starego Macieja.

— Toż to Maciej nie ma tak wiele. Te trzy morgi moczarów, mórg górki i kawał lasu nic to naprzeciw ośminy Wojtka i dwu morgów ziemi jak cacko, które mogła otrzymać Hela czy Bronia w chwili zamążpójścia.

— Zresztą stary nie do życia. Gderliwe to i naprzykrzone, a do tego pochodzi z rodu tych, co za dużo wiedzą.

Szczerze więc żałowały młodego Chmury, aby go jednak odstręczyć od Janeczki, rzucały pogłoski podające w wątpliwość jej uczciwe życie.

I los igrał. Odmieniło się ...

Ktoś widział Jankę w noc pod lasem, lecz teraz nie z Wojtkiem tylko z obcym, ktoś dojrzał jej przemykanie się we dwójkę za przełazem też pewnie nie w czystych zamiarach, ktoś, tylko nie stary Maciej, bo ten znał swoje dziecko i widział łzy płynące w ciche wieczory gdy zdarzało się, że Wojtek nie zaglądnął w odwiedziny.

Bolał Maciej nad tym, ale ludziom ust zatkać nie mógł, czekał więc cierpliwie, aż się znudzi ten i tamten i przestanie.

W chwili odwiedzin Jana milczał i nic nie mówił o bólu co targał nim we wnętrzu. Jan jednak sam domyślał się tego i żal mu było dziewczyny cierpiącej niesprawiedliwie.

Pomedytował, wywiedział się skąd brały początek pogłoski, podkręcił wąsa i los odmienił.

Jak burza targnęło wsią.

— Słyszeliście? ... Jasiek, brat Macieja, widział Hankę Antkową jako to na jarmarku w Żołyni popiła się ze starym Bulandą i mieli się he, he ... gdzieś w żydowskiej sieni całować. A co dalej? ... O tym to juz się na pewno nie obeszło. Za darmo on jej tam nie pomagał w procesie z Dudą. Jak myślicie?

— Juści, juści ... Niesłychana rzecz. Obraza Boska. Nie będzie to Pan Jezusiczek karał? ...

Jak piorun wpadł Antek, mąż Hanki do chałupy. Z miejsca śledztwo. Nawet sprawiedliwy pobłażać nie może gdy żona zdradza. Wymawiała się Hanka, Antek wiary nie dawał.

— Kto mówił?

— Jasiek, brat Macieja.

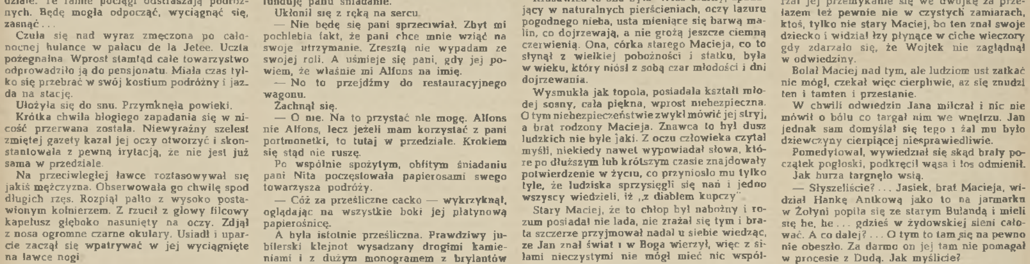
— Wierzysz nieczystemu?

— A tyś czysta była, kiej się całowałaś, grzesznico?

Ruch, krzyk, a wreszcie zostało na tym, że

LICZ SIĘ Z CZASEM

Ryt. i tekst Pawl.



Motek czeka tu cierpliwie,
Bo telefon jest zajęty
Mruczy srogo i gniewliwie
— Co za diabeł tam przeklęty.

Knotek z budki się wychyla
— Zaraz skończę — mówi grzecznie
— Proszę usiąść tu na chwilę —
I uśmiechnął się serdecznie.

— Masz telefon! Czart się cieszy!
Człek tu czeka, niecierpliwie,
Chce już „mówić" i się spieszy —
Motek wściekły klnie i klnie.

Drzwi otwarły się z hałasem ...
Otóż znowu porcja wstrętów
— Jest lektura — licz się z czasem —
Czytaj księgę abonentów.

Antek pod pozorem krowiej choroby wysłał chłopca po Jana.

Jan przyszedł. Uśmiechnął się, wiedząc, że po co innego wzywano go. Poszli jednak do stajni. Jan jak nigdy nic, krowę obmacał, ziółek dał — Antek prosił do izby.

Weszli. Hanka z Małgorzatą czekały. Małgorzata za świadka, bo to i ona była na tym historycznym jarmarku. Hanka stała mężnie. Bóg jej był świadkiem, że na jarmarku była z przyjaciółką. Bulandę widziała, ale coś podobnego?... Stary grat i bez zębów. Toż by chyba rozum postradała. Czekała cierpliwie póki Antek rozmowy nie zagaił. Pomału doszła sprawa do sedna.

— Widzieliście ją Janie?

— Widziałem.

— Całowała się?

— Całowała.

— A ty śmierdziuchu cygański. Boga się nie boisz zatraceńcze. Życie me niszczysz!!

Antka dławiła złość. .

Jan się uśmiechał.

— Widzisz sekutnico, a wymawiałaś się?!

Hance krew nabiegła do twarzy. Antka kochała, nie zdradzała go, a tu teraz przez takiego...

Patrzała na Małgorzatę z niemą prośbą, ale ta stała oniemiała pod wrażeniem bezczelnego kłamstwa, które najspokojniej w świecie z uśmiechem na ustach, wyrzucał Jan, brat Macieja. Hanka postanowiła zmiękczyć Jana pokorą.

— Bójcie się Boga Janie, nie kłamcie. Wiecie przecież, że to nieprawda, a łamiecie wiarę u męża. Powiedzcie prawdę. Proszę was na litość dla moich dzieci...

— Powiem, ale wy musicie powiedzieć czy prawdą jest to, czym oczernialiście moją siostrzenicę...

Hanka stanęła jak wryta. Zrozumiała. Czerwona niby burak bełkotała niezrozumiałe słowa usprawiedliwienia.

— Nieprawda...

Jan rzekł surowo:

— Toż krzywda, a wy się Boga nie boicie?! Taka widzicie moja jak i wasza prawda. Jeśli zdejmiecie oszczerstwo, które rzuciliście na nią, ja zaprzeczę temu, co rzekłem. A jeśli prawdą jest to, co mówiliście wy, prawdą jest to, co ja mówię...

Hanka łkała głośno i żałośnie. Krzywda, jaką wyrządziła córce Macieja była wielka. O jej ogromie miała możność przekonać się na samej sobie. Postanowiła przeprosić Jankę i dać jej zadośćuczynienie przez przyznanie się do winy przed Wojtkiem, wzamian za co Jan miał cofnąć swe słowa przed Antkiem!

Miłość Wojtka i Janki była czystą. Nie uczyniły jej krzywdy oszczerstwa Hanki i Małgorzaty, sprawiły jeno gorzki ból dziewczynie, który dzielny chłopak, jakim był Wojtek, uśmierzył wiarą w jej wiośnianą, nieskalaną duszę i pocałunkiem co skuwał ich na drogę życia.

SŁUŻBA

Najpierw po zielonym dywanie trawnika przeleciało ciche tchnienie wiatru. Szelestem odpowiedziały mu liście bzów i epirei, staw pokrył się masą drobniutkich rozkołysań. Barwny kłąb tulipanów przed budką dróżnika kolejowego zawirował rozbudzonymi kwiatami, które chyliły się i przeginały. I tylko narcyzy odwracały swe wspaniałe głowy, ukrywając złote oczy przed porywami wiatru.

Nagle w wysokich konarach drzew zagrało akordem burzy. Pochyliły się konary klonów i kasztanów, potrząsając czubami ugięły się dęby. Uniosła się w górę żałobna zieleń, ukazując biel falbanek, koronek i spódniczek.

Na żółtym żwirze zerwały się wartkie kłęby pyłu, przebiegły nad obłym mostem i z hałasem wpadły w kępy jaśminów.

Na oślepiający błękit nieba zwolna nasuwała się ciężka obrzękła powieka chmury z brzegiem świecącym smugami promiennych ros. Coraz niżej, coraz niżej opuszczał się jej brzeg i nagle spadać zaczęły krople.

Od kilku dni leje deszcz.

Wezbrały strumienie, potoki, rzeczki i rzeki. Na kraj lecą alarmujące depesze. Nad dużym potokiem most kolejowy na wpół podmyty żółtą spienioną falą, co nagle spadła w doliny. Za godzinę przebiega tędy pociąg pospieszny. Strach pomyśleć co się stanie.

Młody dróżnik całuje żonę i dzieci, bierze latarkę.

— A wracajże, tato, a spiesz się!

Mętna wzburzona topiel równa się prawie z nasypem kolejowym, podnosi się, narasta, za kwadrans droga będzie odcięta. — Daleko rdzawe błyski po zachodzie słońca. Chciwe języry wody pluszczą o brzegi, sięgają szyn.

Człowiek zaczyna biec. Za dziesięć minut w ciemniejącym wieczorze, na wysokiej latarni zapala się czerwone światło, groźny sygnał śmierci. U stóp latarni migocze inne światełko. Kilka par oczu zalanych łzami patrzy z dalekiego brzegu gdzie stoi chatka dróżnika, jak płomyk jego odbija się w wartkiej fali. Światełko posuwa się ku nim wolno, coraz wolniej.

— Patrzcie, patrzcie latarka unosi się i znaczy w powietrzu krzyż, ostatni znak!

Rozpaczliwy krzyk na brzegu załamał się w bezsilnym szlochu, rozpłynął się w groźnym bełkocie czarnej otchłani, która pochłonęła światełko i jednego człowieka więcej — bohatera Służby.

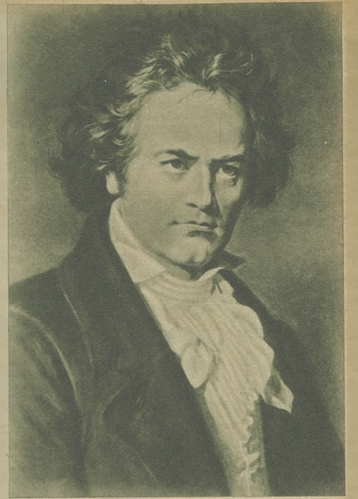
Janik Zdz.

„Moim czynem — Ja!"

PAMIĘCI BEETHOVENA W DNIU 26 MARCA

NAPISAŁA IRENA ORWID

— Święty Franciszek gdy oślepł, napisał „Hymn do Słońca". Dopiero gdy oślepł.



Portret Ludwika Beethovena.

Fot. Archiwum

Nie jest celem tego szkicu analizowanie twórczości Beethovena ani ocena jego dzieł. To zrobili za mnie fachowcy, zrobili dokładnie i sumiennie. Ja wytyczyłam sobie inne zadanie. Chcę aby z tych kilku słów przemówił Beethoven — człowiek, Beethoven — cierpiący, Beethoven — nie ustający w walce. Niejeden może mi zarzuci, że dla znawców muzyki tego genialnego artysty to za mało, a dla laików za wiele. Być może. Ale ja nie piszę ani dla znawców ani dla laików. Piszę dla ludzi, zwłaszcza dla tych, co znają gorycz łez niewypłakanych i ciężar bezsennych nocy, i bezmiar cierpienia, bo oni potrafią zrozumieć muzykę Beethovena. Nie ci co słuchają jej w jasnych salach teatrów, co ważą każdą nutę i śpierają się o każdą pauzę, ale ci którzy w ciszy własnego serca odszukają tony symfonii pastoralnej, którzy w upartych walkach z własną duszą odczują szeroki dech sonaty „namiętnej" a może raczej „żarliwej" Apassionaty.

*

„Przyszedł daleką drogą poprzez Haydna i Bacha. Łączyła go z nimi miłość i tęsknota, ale tam gdzie Haydn nieśmiało przeczuwał, pytał, szukał, gdzie Bach widział Boga unoszącego się na skrzydłach muzyki organowej, — on od zagadki wyszedł, gestem tytana rozwalił wszystkie bramy — i stanął wobec Boga twarzą w twarz, w samym sobie." Pierwszych kroków uczył go niedostatek. Ojciec, osiadły w Bonn w charakterze nadwornego muzykanta elektora ks. Klemensa Augusta, miał pensję zbyt małą na pokrycie wydatków licznej rodziny, a przy tym miał sam liczne wydatki związane z jego zawodem. Matka, cicha, o duszy ofiarnej, jedna z tych, które są stworzone do ustawicznych poświęceń, do skrytego wylewania łez, do obowiązku rodzenia nowych żywotów i ustawicznego ich żegnania, była dla Ludwika nie tylko matką. To była matka-brat, matka-przyjaciel, matka-miłość. Toteż gdy ta matka opuszcza chłopca w 17-tym roku życia, zostaje on prawie sam. Sam, bo muzyka jeszcze wtedy to tortura, od której ucieka, której nienawidzi. Od dzieciństwa przeznaczony przez ojca na wirtuoza, zmuszony do bezustannych ćwiczeń, widzi w muzyce tylko siebie — żywiciela rodziny, siebie — sławę, ale nie dostrzega siebie — boga, siebie — zwycięzcy.

Po ciężkim okresie w Bonn, o którym sam mistrz wyraża się, że był „niełaskawy", następuje drugi równie ciężki okres: pobyt w Wiedniu. Ubogi pokoik, zarobki więcej niż skromne, lekcje najpierw u Haydna, potem u Albrechtsbergera. Pierwsze utwory, a więc koncert c-dur, a więc sonata patetyczna. I przełom! Uderzenie obuchem w głowę. Głuchnę! Ludzie, mówcie głośno, głośniej, bo ja nie słyszę! Jeszcze rok, dwa, a będę głuchy jak pień! I wtedy będę komponował. Będę tworzył rzeczy wielkie. Teraz już nie wątpię, nie szarpię się w męce niepewności. Wiem: „Siła jest moralnością człowieka wzbijającego się ponad innych i ona jest moralnością moją". „Ja wam pokażę rytm życia, z zburzonych ołtarzy wzniosę nowe świętości, w gruzach zagubionej ideologii odszukam ciężką pracą nić wyjścia i pociągnę was za sobą ociężałych, opornych, tragicznych. Czy to nie radość?! Czy to nie szczęście?! Moją pracą — modlitwa. Moją modlitwą — czyn. Moim czynem — Ja."

W szybkiej kolejności pojawiają się coraz to nowe dzieła. Liczne sonaty, między innymi czwarta znana pod nazwą „księżycowej". Poza tym symfonia druga, oratoria, utwory kameralne. Beethoven staje się sławny. Lekcje mnożą się. Ten dziwak uciekający od ludzi, szorstki i nieufny, nie może być dobrym nauczycielem, ale nazwisko robi swoje. Pomiędzy całym tłumem mniej lub więcej zdolnych uczniów, piękna, subtelna, poetyczna Giulietta Guicciardi. Pierwsza miłość. Ona — zaledwie siedemnastoletnia, kapryśna, kokieteryjna, bawi się tym podlotkowatym zadurzeniem, miłym uczuciem dumy kobiecej, której los ściele pod nóżki dziką czupryne bardzo sławnego muzyka. On — z całym oddaniem bujnej, rozszumiałej męskości. Mówi się nawet o małżeństwie. Papa się krzywi, w końcu Giuletta stygnie, zaczyna się nudzić i ... w rezultacie wychodzi za hr. Gallenberga, również muzyka. Imię tej płochej istotki uwiecznione na początku sonaty księżycowej, sonaty „quasi una fantasia" jest dowodem czym była Giuletta dla Ludwiką i jak trudno mu było przeboleć ten zawód.

*

W Europie zamęt. Jakiś młodzik, jakiś nieznany Buonaparte, jednym zamachem niszczy Dyrektoriat i uzurpuje sobie władzę pierwszego konsula.

Beethoven odżywa. Oto człowiek. Człowiek — bóg. Człowiek — grom. Człowiek — purpura.

Hołd bohaterowi — Symfonia Heroiczna.

Na wieść o koronacji Napoleona na cesarza Francji, Beethoven skreślił poprzednią dedykację „Buonaparte" i zastąpił ją inną: „Symfonia Heroiczna skomponowana ku uczczeniu pamięci wielkiego człowieka". Pierwszy konsul umarł w Beethovenie. Okazał się małym człowiekiem. Skuszony blaskiem korony, sięgnął po nią, włożył na skronie, owinął się purpurowym płaszczem kłamstwa i spoczął na grobie usłanym z więdnących laurów. Beethoven zawiódł się. Powiedział kiedyś: „Gdybym sztukę wojny znał tak jak sztukę tonów, pobiłbym go na głowę".

*

Na zamówienie kierownika „Theater an der Wien" pisze Beethoven swoją jedyną operę „Fidelio". Znaczenie jej tkwi nie w syntezie dramatycznej, ale w wewnętrznym patosie symfonicznym. Przeżywanie mieści się w muzyce, nie w akcji. Oto przyczyna nieporozumień z publicznością nikłego powodzenia.

Wychowani w dusznym materiaľiźmie kołtunerii, skrępowani nakazami konwenansów, chorzy na brak myśli, iskry twórczej, polotu, nie mogli, nie potrafili zrozumieć tego tytana. Chciano aby pisał dla mas. Łatwo. Przystępnie. Ozdobnie. Nie chciał. Muzyka była dla niego tronem Boga dostępnym tylko dla wybranych. Odgłosem trąb archanielskich. Nie chciał i nie umiał zrobić z niej „miłej rozrywki na niedzielne popołudnie".

Uczynił swoją muzykę subiektywną. Otwierał w niej zawsze duszę. Każdy jego utwór był częścią spowiedzi osobistej. Taką spowiedzią jest Symfonia piąta i wielka, wspaniała Appassionata.

W notatniku swoim napisał Beethoven te słowa „Kto kiedykolwiek zdobył choćby przeczucie życia wiejskiego, ten bez wielu tytułów będzie wiedział czego autor chce". Słowa te odnoszą się do Symfonii szóstej t. zw. Pasterskiej. Źródeł jej popularności należy szukać jeżeli nie w malarskim realizmie to w literackim naturaliźmie. Spokojny obywatel słysząc szmer strumyka i śpiew drozdów mówi „no, to się przynajmniej rozumie" i słucha wytrwale aż do zakończenia, które jest przepiękną modlitwą dziękczynną za zachowanie zbiorów, za odwrócenie klęski pożaru.

A potem przychodzi Bettina Brentano. Mądra, nad wiek inteligentna wniosła w życie Beethovena słodycz wiośnianej egzaltacji i niewinnego uczucia. Zaprzyjaźniona z Goethem, pisze doń entuzjastyczne listy wyrażające głębię geniuszu tego wielkiego człowieka.

„O Goethe! Żaden cesarz, żaden król takiej nie posiada świadomości swojej mocy i że cała siła od niego idzie, jak ów Beethoven... Gdybym go rozumiała tak jak go czuję, wówczas wiedziałabym wszystko."

Aż w końcu Nieśmiertelna Kochanka Teresa Malfatti późniejsza hr. Brunswick. Wybuchają całą siłą dawno tłumione namiętności. Prawo życia jest silne. Nawet geniusz czasami ulega. Teresa zostaje narzeczoną Beethovena. Ale przychodzą refleksje. Ona, ta najcudniejsza ma być przykuta wiecznie do niego, do kaleki? Ma mu do ucha krzyczeć słowa miłości — krzyczeć?

Nie, Beethovenie! Nie wolno ci być człowiekiem, dla siebie nie wolno tylko dla drugich. W tobie nie ma już szczęścia, tylko w sztuce. Niech uczucie twoje stoi wysoko, tam między gwiazdami. Niech Kochanka będzie naprawdę Nieśmiertelną. Beethoven zrywa narzeczeństwo i zostaje sam. „Sam ale z Kochanką, która jest nieśmiertelną. Ale rozrośnięty, wywyższony, o jeszcze jedną, dojrzałą, własnowolną, pełną ofiarę większy".

Ukoronowaniem tego roku miłości jest symfonia ósma.

Tony rosną w sercu, rozsadzają czaszkę, tętnią hukiem piorunnych ech, syczą jękiem pogrobnych żalów, rosną, potężnieją, walą się na duszę, na niego samego. Złamią go? Nie, bo to mocarz, bo to władca najpotężniejszy. Tytan, który zwyciężył siebie.



Dom koło Wiednia, w którym Beethoven komponował trzecią symfonię.

Fot. Archiwum

O Beethovenie! tego nas naucz swoją muzyką. Wskazuj, ucz, tłumacz.

Jesteśmy słabi. Żądzą nami uczucia, namiętności, a nie wola. O Beethovenie! Ty nauczycielu boski, twórco radości i smutku, piewco zwycięstwa, daj abyśmy za twoim sztandarem siły i wytrwania szli przez życie.

Błądziłeś, szukałeś poomacku, myliłeś się, ale właśnie twoje błędy są dowodem twojej wielkości. Beethovenie dla twojej Appassionaty i symfonii „Radości" przebaczyliśmy ci „Zwycięstwo Wellingtona", ten największy grzech twojego życia. Symfonia ta została napisana ku czci zwycięzcy spod Waterloo. A może ku czci zwyciężonego? W każdym razie płytkością ujęcia odbija od innych dzieł Beethovena. Mimo tego zyskała niebywały rozgłos i powodzenie. Vox populi, vox Dei!

I przychodzi czas solenny. Beethoven pisze ostatnią wielką rzecz — Symfonię dziewiątą do „Radości".

Bracia, raduję się. Spełniłem swoje zadanie „Dałem wam muzykę serca, muzykę ducha, muzykę krwi. Mogę odejść. Radość mi pozostała tylko. Jestem głuchy, ale słyszę to czego wy nie słyszycie. Radość wypłasza mękę. Radość zwycięża. Ona jest moją, poza nią nie mam nic.

Do słów Schillerowskiego hymnu „Do Radości" piszę tę najwspanialszą symfonię. Koniec. Lepszej nie będzie. Beethovenię, jesteś geniuszem!

„O Radości iskro Boża,
Elizejskich córo dróg,
W naszych oczach ognia zorza
Gdy twój przekraczamy próg."

Nie starczy słów. Cicho! Nie mówcie. Nie ma słów na wyrażenie tej muzyki. Wszystkie melodie pędzą na skrzydłach Radości do tronu Boga. Kto tam sięgnie? Kto do tego dorośnie?

On!

Oczyszczony!

Głuchy!

Nagi!

Jak Chrystus na pustyni poszczący.

„W proch padacie miliony?
Stworzyciela pojął świat?
Gwiazdy rąbkiem jego szat!
Nad gwiazdami niezmierzony."

Długa fermata, akord i ... cisza.

Cisza wieczności. Cisza dosytu. Cisza ukojenia. Dzieło spełnione.

*

Jeszcze kilka utworów na skrzypce, wariacje na temat Diabellego i koniec.

Tytan wyczerpał siły. Powala go choroba. Do potwornej męki życia dołącza się męka śmierci. 26 marca 1827 r. skupili się przyjaciele w okół łoża umierającego Beethovena. Pojednany z Bogiem odchodził spokojnie. Za oknem szalała burza. Nagle oślepiająca błyskawica przewaliła się przez pokój. Beethoven otworzył oczy. Trzask piorunu. To stuka los. Beethoven podniósł zaciśniętą pięść ku chmurom. Już jest poza losem. Już drwi ze świata.

Ręka opadła. Odszedł.

Wielki.

Nieznany.

Błogosławiony.

*

Nad świątynią Izydy były wyryte te słowa: „Żaden śmiertelny zasłony mojej nie podniósł".

A on? A Beethoven? Człowiekiem był a uchylił rąbka boskiej tajemnicy. Sięgnął tam, gdzie dotychczas żaden ze śmiertelnych.

Uwaga! Karykaturzyści!

Rysunek przemawia wymowniej niż 1000 słów, a dobra karykatura naświetla zdarzenia i sytuacje często jaśniej i bystrzej niżby to był w stanie uczynić długi tekst. Dlatego by wzbogacić treść naszego IKP poszukujemy zdolnych karykaturzystów zamieszkałych na terenie Generalnego Gubernatorstwa i zapraszamy do ściślejszej współpracy z naszym wydawnictwem, przez nadsyłanie humorystycznych rysunków i aktualnych politycznych karykatur.

Karykatury i rysunki zamieszczone w naszym kąciku będą honorowane w wysokości od 40—50 złotych.

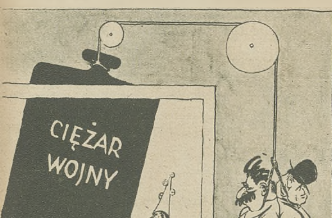
Szczegółowych informacyj odnośnie tematu, techniki wykonania, formatu itp udzieli zainteresowanym na żądanie Redakcja.

SPÓŹNIONE OTRZEŹWIENIE STALINA



... a przecież europejska stal jest twardszą!...
Rys. Hövker (Die Post)

W CYRKU ROOSEVELTA



— Widzicie państwo, że największy ciężar unoszę bez żadnego wysiłku.
Rys. Solo-Interpress (Die Woche)

Ze względów technicznych, kącika szachowego w dzisiejszym numerze nie zamieszczamy.

— Marysiu, dlaczego dałaś mi dwie flaszki z ciepłą wodą do łóżka?
— Bo jedna cieknie, proszę pani.

*

— Dlaczego nowonarodzone cielątko ma zawsze wilgotne oczy?
— Głupie pytanie, ty także płakałbyś, gdybyś się dowiedział, że twoi rodzice są bydłem.

*

— Co ty mówisz, spotkałeś Małgosię po dziesięciu latach. Czy zachowała swą piękną dziewczęcą figurkę?
— Zachowała? Ona ją nawet podwoiła.

*

— Wyobraź sobie, gdy dziś rano śpiewałam, sąsiad nasz wybił okno kamieniem — opowiada pani Ziuta mocno oburzona swemu mężowi.
— Nic się nie martw. Jest on już dostatecznie ukarany — odpowiedział mąż.
— W jaki sposób?
— No, teraz będzie słyszał znacznie lepiej twój śpiew.

*

— Proszę bardzo, może pan bliżej podejdzie?
— Może lepiej nie, gdyż deszcz pada i ja mam bardzo zabłocone nogi.
— Nic nie szkodzi, przecież pan nie musi bucików zdejmować.

*

— Patrz pan, ta zbroja, to pozostałość po moim pradziadku.
— Nie wiedziałem, że pański przodek handlował starym żelazem.

*

— Od czego pochodzi wyraz dług?
— Od tego, że się go prawdopodobnie długo nie zwraca.

*

— Teraz, kiedy opowiedziałam panu doktorowi wszystkie moje cierpienia musi pan przyznać, że jestem godną litości.
— Przeciwnie, jesteś pani godną zazdrości, gdyż ażeby znieść to wszystko, trzeba mieć żelazny organizm.

Sędzia: — Świadek słyszał cały przebieg kłótni między małżonkami. Jakie wyniósł z niego wrażenie?
Świadek: — Że się nigdy nie ożenię, panie sędzio.

*

— Mój nauczyciel muzyki poświęcił mi ostatni swój utwór na fortepian.
— Czy ładny?
— Prześliczny brunet z czarnymi oczami.

*

— Kobiety znoszą ból w ogóle lepiej niż mężczyźni.
— Który lekarz to panu mówił?
— Żaden lekarz, szewc.

*

— Więc nie pojedziesz w piątek?
— Za nic na świecie!
— Nie przypuszczałem, że jesteś tak zabobonnym.
— To wcale nie zabobon,— tylko że dopiero w sobotę wypłacą mi pensję.

*

Zwiedzający więzienie pyta się jednego z więźniów.
— Dlaczego tu siedzicie?
Więzień: — Bo z trzema kobietami się ożeniłem.
Zwiedzający: — Ach! W takim razie tutaj zażywacie spokoju.

*

Rodzice wyjeżdżają na kilka dni. Przed wyjazdem pyta matka małego syna:
— Henryś! A gdzie ty chcesz spać podczas naszej nieobecności? W swoim łóżeczku, czy też razem z nianią?
Henryś chwilę się namyśla wreszcie odpowiada:
— Tato, a cobyś ty zrobił na moim miejscu?

*

— Uważam, że pan, panie Karolu jesteś najszczęśliwszym z ludzi!
— Dlaczego?
— Bo kochasz się w samym sobie i nie masz ... rywali!

*

Ożenić się, to znaczy podwoić swe obowiązki, a przepołowić prawa.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

BIERZ, CO CHCESZ!

Na majówce się poznali: szkot, angielka.
Ona: młoda, pełna życia i słodyczy;
Romantyczka — przygód chciwa — marzycielka.
On: wysoki, czarnooki, bladolicy.

Ach, to chłopiec mój wyśniony — pomyślała;
Już go kocham! — To przygoda jest prawdziwa!!!
I bezwiednie — swoje usta mu podała ...
Taka była, ta miss Mary — przygód chciwa.

Na majówkę na rowerze przyjechała;
A, że teraz jej przeszkadzał — odrzuciła.
Znów — z rozmysłem słodkie usta mu podała!
I drżąc cała — przy nim stała ledwie żywa ...

Cisza leśna ... Oni sami koło groty ...
Więc go prosi — żeby pieszczot swych poniechał ...!
A on swoje! ... Więc szepnęła: „bierz, co chcesz mój złoty ...!
On pomyślał — ... wziął jej rower — i odjechał!

E. Lotar

— Jakże się panu podobała Szwajcaria?
— Za bardzo jednostajna. Same góry.

*

— Pański wyżeł ma bardzo głupi wygląd!
— O pan się myli. Mój pies jest bardzo mądry, on naśladuje tylko miny innych osób.

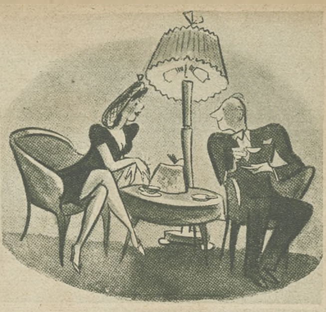
*

W pewnej gazecie ukazało się niedawno takie ogłoszenie:
„Jest do sprzedania duży buldog dwuletni. Jada wszystko, szczególniej lubi dzieci".

Mała Józia tupie, wrzeszczy, maże się już przez kwadrans, wreszcie ucicha.
— No — powiada matka — przecież na koniec będzie już spokój.
— O nie! ... ja sobie tylko odpoczywam.

*

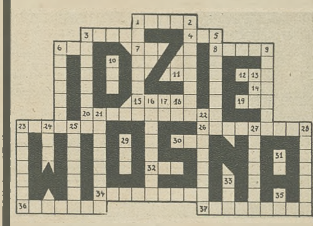
Żona: — Ciekawam bardzo, co powiedziała na to Ewa, gdy ją tak nagle wypędzono z raju.
Mąż: — Łatwo zgadnąć. Powiedziała to, co wszystkie odtąd za nią przed każdą podróżą powtarzacie: „Nie mam literalnie co na siebie włożyć".



Pan wybaczy, panie doktorze, że tak maleńką żarówkę świecę.
— Ależ proszę bardzo, panno Lilo, jeżeli o mnie chodzi, może pani w ogóle zgasić światło.
Münchner Illustrierte Presse

Rozrywki umysłowe

KRZYŻÓWKA
ul. J. W. Przemyśl



Znaczenie wyrazów:

Poziomo: 1. skóra zdarta z głowy; 3. koń skrzydlaty; 4. opiekun ogniska domowego u staroż. Rzymian (wsp); 6. miasto w Belgii; 7. zamek; 8. przewodnictwo; 11. nuta; 12. niewolnik; 14 = 11; 15. przysposobiony do krajania; 19. istnienie, egzystencja; 20. stronienie od ludzi; 23. kociołek do gotowania wody na herbatę; 26. figura retoryczna; 30. worek, torba; 32. część utworu scenicznego; 34. imię cesarzy bizantyńskich; 36. kraj w staroż. Helladzie; 37. związek polityczny we Włoszech.

Pionowo: 1. oddział konnicy; 2. pierwowzór, oryginał; 3. krajobraz, piękny widok; 5. potwór, bajeczna ryba biblijna; 6. lekki, wesoły utwór muzyczny; 9. sędzia rozjemczy; 10. instytucja wymierzająca sprawiedliwość, 13. najstarsze karty; 16. rany Chrystusa, występujące na ciele niektórych osób, 17. dwie spółgł.; 18. Grecka litera; 21. część W. Brytanii; 22. zaciekli rewolucjoniści; 23. pomocnik sklepowy; 24. termin używany w szachach; 4. korzyść, zysk; 10. część ciała; 11 = 16 poziomo; 13. narty; 15. rzeka w Rosji; 21. stop kruszców, mieszanina; 29. zaimek; 30. bóg egipski; 31. pierw. chemiczny.

MIŁOŚĆ MIERZONA MATERACAMI

Pewien profesor matematyki opuszczał prawie mieszkanie w momencie, gdy jego młoda żona ścieliła łóżka. Patrząc na swego małżonka przymilnie, zapytała go, ile jeszcze dni będzie ją kochał?

— Tyle dni będę cię jeszcze kochał — odrzekł profesor — na ile różnych sposobów możesz tych sześć materaców ułożyć.

Po tych słowach profesor szybko oddalił się, a młoda małżonka zaczęła zalewać się rzewnemi łzami. Czy miała powód ku temu?

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR. 11

Znaczenie wyrazów:

Poziomo: 2. renata; 4. woal; 5. rasa; 7. moda; 9. baza; 11. wagony; 12. ława; 14. faza; 15. dama; 17. pole; 18. Sahara.

Pionowo: 1. rana; 2. real; 3. tara; 4. woda 6. Saba; 7. Mogiła; 8. pogoda; 10. zaraza; 13. wada; 14. fale, 16. masa; 17. pora; 19. hamak.



Japońska wiosna

Foto: Ufa